

El Salvador

03.06.2007.

Zmieniony 07.07.2007.

Z Antiguy wyjeżdżamy chickenbusem do Guatemala City. Stolica Gwatemali nie ma raczej niczego do zaoferowania turystyce poza najbrudniejszym i najstraszniejszym dworcem autobusowym w całej Ameryce Centralnej. Dlatego nie chcemy zostawać dłużej.

Zabawiamy tu tylko godzinę w oczekiwaniu na bezpośredni autobus do San Salvador za jedyne 12\$ od osoby w 'servicio especial' czyli z klima, toaleta i telewizorem. 'O, przepraszam, ten nie ma telewizora' - poinformował mnie Pan sprzedający bilety. Pytam zatem z ciekawości o ew. servicio nie-especial, takie zwykle. Ooo, zwykłych nie ma. Do wyboru mam servicio especial albo... servicio especial. A jak mi zależy na telewizorze to mogę poczekać godzinę albo dwie na następny autobus. Nie wyglupiam się zatem więcej tylko grzecznie placimy 24\$ i czekamy na odjazd stylowym dość starym amerykańskim autobusem dalekobieżnym.

Granice przekraczamy bezbolesnie, może poza tabunem tubylców nie odstepujących turystów na krok, oferując wymianę walut, pomoc przy bagażu, nocleg albo transport. Cały czas licząc na choć skromny zarobek kierują zagubionego turystę do odpowiedniego okienka i odprowadzają wiernie do autobusu cały czas wykrzykują te same słowa: cambio, taxi, hotel. Po obu stronach granicy nie dostajemy żadnej pieczątki, więc trochę się martwimy o wyjazd. No ale oni powinni wiedzieć najlepiej co jest nam potrzebne.

San Salvador wita nas wczesnym wieczorem deszczem i niesamowitą duchotą. Panowie kierowcy (2) i ich pomagierzy (bagażowi albo po prostu zagadywacze - 2) są na tyle mili że starają się wysadzać pasażerów w dogodnych dla nich miejscach. My wysiadamy przy MetroCentro, które wraz z sąsiednim MetroSur tworzą największe centrum handlowe w Ameryce Centralnej. Stąd spacerkiem ruszamy do wybranego z przewodnika hostelu o wdzięcznej nazwie Ximena's Guest House, którego właścicielka jest współautorka rozdziału o Salvadorze w tymże przewodniku. Warunki raczej spartanckie, ale dużo turystów z całego świata, którzy przyjechali tu z różnych stron Ameryki Centralnej, więc będzie można wymienić rady i opinie co do miejsc godnych i niegodnych odwiedzin. Przyjemna duża weranda, ludzie i możliwość korzystania z lodówki sprawiają że zaduch, ciekna kąpiel i tabuny komarów są dużo łatwiejsze do zniesienia. W ramach zwiększenia poziomu integracji z innymi turystami, jak również poprawienia budżetu wybieramy pokój szescioosobowy.

Stolica tej najmniejszej z centroamerykańskich republik nieco zawodzi nas swoim wyglądem. Wspomniane centrum handlowe znajduje się w dość czystym i w miarę nowoczesnym otoczeniu, ale centrum miasta jest brudne, zasmiecone, bardzo zaniedbane i przez to po prostu brzydkie. Dlatego spragnieni odrobiny normalności nasz pierwszy dzień w Salvadorze spędzamy w centrum handlowym snując się pomiędzy kafejkami internetowymi, fastfoodami (potrzebujemy przerwy od tortilli i ciapy z fasoli) i dość ubogimi sklepami. Nawet odwazamy się na pojscie do kina. Piraci z Karaibów, część 3, w wersji oryginalnej z hiszpańskimi napisami. Zrozumieliśmy, podobalo nam się. Nawet bardziej niż druga część.

Salvador to na tyle małe państwo że nie ma specjalnie sensu zmienianie miejsca noclegowego. Dlatego baza jest dla nas San Salvador i stąd robimy wycieczki. Pierwsza do parku narodowego Cerro Verde z 1 wymarłym i 2 aktywnymi wulkanami: Izalco i Santa Ana. Wstajemy bardzo wczesnym rano i razem z naszym nowym angielskim kolegą Samem ruszamy na dworzec autobusowy, gdzie zgodnie z planem wsiadamy w autobus do El Congo, gdzie chcemy przesiąść się na autobus jadący do parku. Wsiadamy i czekamy. Teoretycznie jesteśmy 45 minut przed czasem jego przyjazdu, a powinien jeździć co godzinę. Czekamy. Pijemy kawę. Czekamy. Gadamy. Mija 15 minut od jego teoretycznego przyjazdu. Czekamy. Gadamy. Czekamy. Mija godzina. Czekamy. Pijemy soki. Czekamy. Gadamy. Czekamy. Mija druga godzina. Zaprzyjżniamy się z tubylcami, sami są zdziwieni że jeszcze żaden nie przyjechał. Czekamy. Gadamy. Mija trzecia godzina. Nic. Zaczynamy się trochę denerwować, ale tubylcy mówią że przyjedzie. W końcu: jest! Po 4 godzinach naszego oczekiwania przyjechał. Dowiadujemy się że w Salvadorze autobusy czasem zmieniają trasę. Wg widzimisie kierowców. Dzisiaj właśnie takie widzimisie nas spotkało. Nikt się nie dziwi, wszystko jest ok. A my spóźnimy się o godzinę na wchodzenie na wulkan Izalco z przewodnikiem (codziennie o 11). Sami nie możemy iść, sami możemy tylko pospacerować po dzungli obrastającej wymarłym wulkanem. Nawet ładnie, ale szkoda tego Izalco... Tęgo wieczora Polska wielokrotnie wygrywa w szachy z Anglią. Darek powinien chyba dostać jakiś medal za zasługi.

Na drugą wycieczkę wybieramy się już sami po długich i niemal płaczliwych pożegnaniach z Samem, który jako następny punkt w swojej wyprawie dookoła świata wybrał Honduras. Jedziemy do Suchitoto, ładnego kolonialnego miasteczka, zupełnie pustego w niedzielę. Tu zamierzamy dostać się nad jezioro de Suchitlan. Podobno da się pieszo, więc idziemy. Idziemy, idziemy, zar sie leje z nieba taki, że parzy nas nawet powietrze w cieniu. Idziemy, idziemy, widzimy jezioro, ładne widoczki, robimy zdjęcia. Ale do samego jeziora jeszcze niezły kawał drogi przed nami i nikogo, kto mógłby nas podwieźć. Idziemy dalej? Nie. Padniemy z gorąca tu, na tej pustej drodze i nikt nas nie znajdzie. Jezioro zobaczyliśmy, wprowadziliśmy z daleka, ale zawsze to coś. Wracamy.

Wieczorem zmęczeni postanawiamy uciekać z Salvadoru. Dwie wycieczki i obie jakos tak niezbyt udane. Stolica też nie zachwycająca. A MetroCentro znamy już na pamięć. Czas przyspieszyć i smignąć do Panamy, żeby tam zmienić daty następnych lotów. Reszta będziemy zwiedzać w drodze powrotnej do Meksyku. Jeszcze tylko po dwie tabletki chloroquine zapobiegawczo przeciw malarii i do spania. A jutro będziemy już w Hondurasie...